



## Obóz karny Wojska Polskiego w Kamiennej Górze

26 stycznia 1951 roku weszła w życie Ustawa z 18 stycznia 1951 roku o odpowiedzialności żołnierzy za przewinienia dyscyplinarne i za naruszenie honoru i godności żołnierskiej. Nowy akt prawny utrzymał karę służby w oddziale karnym.

Jesienią 1953 roku na bazie kompanii karnej w Modlinie sformowany został 3 Batalion Karny (JW 1275). Jednostka miała być utworzona w Zbąszyniu i przeznaczona do prac w Międzyrzeckim Rejonie Umocnionym. **W marcu 1954 roku batalion dyslokowany został do Kamiennej Góry i zakwaterowany na terenie byłej filii Gross-Rosen.** Stan zmienny jednostki skierowany został do pracy w kopalniach wałbrzyskiego zagłębia węglowego.

W maju 1956 roku został rozformowany.

Źródło: encyklopedia.naukowy.pl (Oddziały karne i dyscyplinarne Wojska Polskiego).

## Tajemnicze magazyny hitlerowskie koło Sędziszawia ?

Publikujemy w oryginalnej pisowni list Jana R. z 2005 roku (rocznik 1925; nazwisko do wiadomości Redakcji), mieszkańca wsi Ochle w woj. wielkopolskim, który w czasie II wojny światowej był robotnikiem przymusowym w Starej Bialce (Alt Weissbach). Mamy nadzieję, że odpowiednie służby zainteresują się treścią tego źródła i podejmą stosowne działania!

„W 1942 r. byłem złapany w mieście Kole na ulicy jak wysłano mnie wykupywać kartki żywnościowe, otoczono sklep i nas schwytano i zabrano do buźnicy żydowskiej i tam nas było już sporo trzymano nas trzy dni i potem wywieziono nas cały transport do Niemiec do pracy zapędzono nas wszystkich na stację kolejową w Kole i załadowano nas do bydłowych wagonów i pojechaliśmy aż do Landeshut [Kamiennej Góry] a z nami 2-ch wachmanów którzy pilnowali nas w Landeshut nas rozładowano i zapędzono na Arbeitsamt [do Urzędu Pracy], tam byli już i nas porozbierali i każdy ze swoim Niemcem pojechał, i pracowałem tam 3 lata pracowałem głodny i chłodny spałem na strychu mrucz był zimą bardzo duży nie szło wyspać ciężko było przeżyć zabierano nas jeszcze od tych baoruw [bogaty chłopów] do innych prac wojskowych na przykład jak do kopania bukrów, tuneli podziemnych okopuf i dużo innych rzeczy maskowanie różnych magazynów wojskowych a to znajdowało się na trasie od Landeshut-Breslau-Rubak [Ruhbank – Sędziszaw], tam były w lasach okropne magazyny wojskowe, tam jak robiliśmy im dojazdy do samochodów to widzieliśmy z dala że samochody ciężarowe pod tę górę wchodziły i wychodziły w tych tunelach tam przebywały dość długo, te samochody były wojskowe i bardzo mocno plandekami opaczęzone tak że nic tam nie było można zobaczyć jak przejeżdżali takie nas słuchy dochodziły że to tunele wojskowe i magazyny nam tam nie było wolno chodzić bo stał nad nami wachman s karabinem (...).”

Źródło: Kserokopia listu przekazana Redakcji w marcu 2013 roku przez Pana Michała Tykierko.

## Moja rodzina w wirach II wojny światowej

Wśród nas żyje coraz mniej osób, które przeżyły II wojnę światową. Część z nich nie pamięta tego okresu lub nie chce pamiętać. Natomiast niektórzy po prostu nie chcą o tym mówić, gdyż wspomnienia te są bardzo bolesne i mimo upływu czasu ciągle żywe. Jednak dzięki mojemu tacie mogłam dowiedzieć się, jak wyglądało życie mojego dziadka podczas II wojny.

Gdy mój tata był małym chłopcem, dziadek zawsze powtarzał, że żołnierz niemiecki - mimo że najeźdźca - nigdy nie skrzywdził cywila w jego wiosce. Mówił, że zawsze byli czysti, dobrze ubrani, nigdy nie ukradli choćby kury z kurnika i pod żadnym pozorem nie dotknęli polskiej kobiety. Opowiadał również, że był świadkiem rozmowy z Niemcem, który ze łzami w oczach mówił o pozostawionej w Niemczech żonie w ciąży. Martwił się, czy kiedykolwiek zobaczy swoje dziecko. Nie chce strzelać do Polaków, ale wie, że jeśli się zawaha to sam zginie, a jeśli odmówi wykonania rozkazu, to dostanie „kulę w łeb”. Mówił, że szanuje Polaków i jakby przeżył wojnę chciałby wrócić w te strony z żoną i dzieckiem... Nie wrócił. Mojego dziadka bardzo wzruszyły wyznania niemieckiego żołnierza i postanowił, że strach nigdy go nie omota.

Szkoda, że większość świadków II wojny już nie żyje, dlatego warto popytać rodziców, dziadków o kawałek historii.

**Karolina Piechota, klasa II b T**

**Józefa J.** (ur. 04.11.1922): *„Urodziłam się w wiosce Królowa Polska, w powiecie Nowy Sącz, województwo Kraków. Przed wojną miałam szczęśliwe i udane dzieciństwo. Ale do czasu ... Gdy miałam 11 lat zmarł mój tata. (...) Wojna wybuchła, gdy miałam 17 lat. Byłam bardzo młoda, miałam plany, marzenia, chciałam zdobyć wykształcenie, ale wysłano mnie na służbę. Na początku przekazano mnie do sąsiadki, żeby bawić jej dzieciątko. Za wiele z tego nie miałam... trzy kromki chleba i miskę zupy, chociaż w tamtych czasach to i tak dużo. Nosilam to dzieciątko cały czas na rękach owinięte w chustkę, bo wózków jeszcze wtedy nie było. Po dwóch latach przenieśli mnie na gospodarstwo, gdzie pasłam krowy, siałam zboże i zbierałam ziemniaki. Musiałam robić wszystko, czy mi się to podobało, czy nie. Nabyłam wtedy wielu przydatnych do dziś umiejętności. Spaliśmy na sianie w stodole. Jedzenie dostawaliśmy w metalowych miskach. Była nas wtedy trójka: ja, Staszek i Wiesiek. Bardzo się lubiliśmy. Po kolejnych dwóch latach przenieśli mnie do innego domu, gdzie byłam służącą. Wojna wciąż trwała. O swoich bliskich nie wiedziałam zbyt wiele. Jedyne tyle, że mama została na gospodarstwie u nas w wiosce, a rodzeństwo również zostało wysłane na służbę. Każdy gdzie indziej. Bardzo za nimi tęskniłam... Na służbie musiałam gotować, piec chleb i ciasta, szorować podłogi szczotką na kolanach. Po niecałym roku znów odesłano mnie na gospodarstwo. Nic się tam nie zmieniło, oprócz tego, że więcej ludzi chodziło i prosiło o jedzenie po wiosce. Gospodarz, u którego pracowałam, dawał każdemu tylko po dwa ziemniaki, żeby starczyło dla większej ilości osób, ponieważ biednych i bezdomnych blakających się po wioskach wciąż przybywało. Ogólnie na służbie spędziłam 7-8 lat. I nie z jednego pieca chleb jadłam. Na gospodarstwie zawsze dostawaliśmy wydzieloną ilość jedzenia, a potem gospodyni zamykała całą żywność w spiżarni na klucz, która znajdowała się w ciemnej piwnicy. Głodni nie chodziliśmy, ale najedzeni też nie byliśmy. Co dali to się jadło.*

*W 1945 roku przyjechałam do Krzeszowa, był to wrzesień, w imieniny Michała. Tu poznałam swojego przyszłego męża. W lutym 1946 roku wzięłam ślub. Krzeszów swoim urokiem skradł moje serce, dlatego pozostałam w nim do dziś. Tutaj wraz z mężem kupiliśmy dom po wysiedlonych Niemcach i założyliśmy gospodarkę. Również w 1946 roku do Krzeszowa przyjechała moja koleżanka z wioski, która jest ode mnie o cztery lata młodsza. Ona również była wysłana na służbę do różnych miejsc.*

*Dziś mam 93 lata, w Krzeszowie mieszkam już 70 lat. Czasy wojny wspominam do dziś i cieszę się, że przeżyłam je tak, niżbym miała zginąć z rąk okupantów.”*

**Katarzyna Ogorzałek, klasa II b T**

Moja babcia osobiście z wojny nie pamięta zbyt dużo, ponieważ urodziła się w sierpniu 1941 roku niedaleko Rzeszowa.

Młodych i krzepkich mężczyzn wcielano do wojska. Jej taty nie wzięli, bo wcześniej miał złamaną nogę i ciągle dawała mu się we znaki. Wspominała, że jej mamy brat poszedł do partyzantki w 1941 roku. Był to czas wielkich mrozów. Niestety, zachorował na silne zapalenie płuc i wrócił do domu. Niedługo po powrocie zmarł w wieku 28 lat. Inny wątek dotyczył jej mamy siostry brata, którego zabrano na roboty przymusowe w Niemczech. Tam, pracując na budowie, odmroził sobie nogi, więc Niemcy kazali mu wracać do domu. O transport było bardzo trudno, więc tułał się po domach, aż wiadomość o jego próbie powrotu dotarła do rodziny. Wtedy mojej babci tato wyjechał po niego wozem z koniem. Niestety on też zmarł niedługo po powrocie, nie dożywając nawet 30 roku życia. Jego siostrę natomiast zabrano do pracy w Niemczech na gospodarce. Jak się później okazało dawano jej tam tabletki, aby nie mogła zajść w ciążę.

Sporo też powiedziała mi o dziadku, swoim mężu i jego rodzinie. Dziadek urodził się 10 czerwca 1940 roku na Sybirze - równe cztery miesiące po zesłaniu tam jego rodziny (rodziców, dziadków i trójki rodzeństwa). Żyli w bardzo ciężkich warunkach pracując przy wyrębie drzewa, które spławiano rzeką Jenisej. Byli na Syberii przez 6 lat. W międzyczasie brat dziadka zaraził się panującym tam tyfusem i zmarł. Miał tylko 14 lat. Na koniec babcia wspominała o czymś, co mówiła jej starsza siostra. Mianowicie w 1944 roku przez ich wieś przechodziło wojsko, wszyscy uciekali, chowali się po piwnicach itd., aby uniknąć kontaktu z nim. Żołnierze pła-

drowali domy, gwałcili napotkane kobiety. Ludzie uciekali gdzie się dało, a ponieważ było lato, oni sami schowali się na polu kukurydzy zaraz obok domu.

Jak widać czasy były bardzo ciężkie.

**Estera Jaszczak, klasa III e T**

### **Janusz Karpiński – więzień filii Gross-Rosen w Landeshut /2/**

Do Landeshut przyjechaliśmy transportem kolejowym. Bocznicą kolejową podchodziła prawie pod sam obóz. Po wyładowaniu znaleźliśmy się w obozie. Jeszcze elektrycy zakładali przewody wysokiego napięcia wokół obozu. Znalazłem się na drugim bloku, sztaba pierwsza. W tym bloku mieściła się trupiarnia, na pierwszym piętrze rewir. Po kilku miesiącach przenieśli mnie na blok pierwszy. Zostałem przydzielony do komanda pracującego w fabryce łożysk kulkowych, znajdującej się w pobliżu obozu. Na pierwszym apelu komanda, komendant obozu zapytał się kto zna język niemiecki. Zgłosiło się nas chyba dziesięciu. Komendant zmierzył każdego z nas swym trupim wzrokiem od stóp do głowy. Przeszły po mnie ciarki. Wreszcie wskazał na mnie. Miałem być tłumaczem w fabryce na jednej zmianie. Do moich obowiązków należało tłumaczyć to, co Niemcy mówili do więźniów. Tłumaczyłem zarządzenia, oraz to, z czym zwracali się więźniowie do majstrów i wachmanów. Pewnego dnia wezwał mnie niemiecki majster i powiedział: „Ponieważ ty jesteś tokarzem, będziesz ostrzył noże do tokarek i ustawiał je”. Powiedziałem: „Tak jest”. Słowo „Nie” w obozie nie istniało. I tu już drugie zaskoczenie. Przecież ja podawałem, że jestem kolejarzem. Tokarki przed aresztowaniem nie widziałem. Skąd wzięli, że ja jestem tokarzem? Bardzo szybko nauczyłem się pracy na tokarce, z łatwością mogłem ostrzyć noże i je ustawiać. Po zabranii wszystkich Niemców do wojska, byłem jedynym, który umiał nastawiać tokarki. Zdawałem sobie sprawę z tego, że gdyby coś się ze mną stało, maszyny stanęłyby. Wykorzystałem ten fakt. Gdy widziałem, że wachman bije więźnia, wchodziłem między nich i nie pozwalałem na bicie. Wachman wpadał we wściekłość, ale nie mógł mi nic zrobić. Byłem w kierownictwie ruchu oporu w obozie. Dwa razy przygotowaliśmy ucieczkę z obozu. Pierwsza miała nastąpić przed Bożym Narodzeniem w 1944 roku. Mieliśmy uciekać z pracy w nocy. Było już wszystko dokładnie przygotowane. Kierownik akcji podporucznik lotnictwa z Warszawy nie wytrzymał nerwowo. Na pół godziny przed rozpoczęciem akcji podszedł do wachmana stojącego przy bramie, uderzył go żelazem w twarz, zabrał automat i uciekł. Niemcy natychmiast zrobili alarm, wszystkich nas spędzili do jednej sali. Ucieczka nasza już nie mogła dojść do skutku. Uciekinier po kilkunastu dniach został złapany. Do drugiej ucieczki przygotowaliśmy się w niewielkiej grupie. Też nie udało się, gdyż jeden z więźniów wydał nas. Ponownie wraz z pięcioma więźniami zostałem aresztowany. Przeszedłem pobyt w bunkrze, okropne przesłuchania, zostałem skazany na pobyt w karnej kompanii (SK). Była to Wielkanoc 1945 roku. Pracując w fabryce nawiązałem kontakt z byłymi jeńcami włoskimi i od nich otrzymywałem gazety i wiadomości z nasłuchu [radia] angielskiego. Wiadomości te przekazywałem więźniom. W lutym 1945 roku fabrykę, w której pracowałem, ewakuowano na zachód. Od tego czasu chodziliśmy kopać rowy przeciwczołgowe pod Lubawkę w kierunku Jeleniej Góry. Był to dla nas najtragiczniejszy okres. Więźniowie ginęli masowo z głodu, bicia, chorób, wycieńczenia. Front wschodni zbliżał się do obozu. Niemcy zarządzili ewakuację obozu. Dobytek Niemców załadowaliśmy na wozy, zaprzęgnięto więźniów jako siłę pociągową (ja też ciągnąłem) i ruszyliśmy na zachód. Po kilku godzinach marszu zawrócono nas z powrotem do obozu, gdyż, jak się okazało, wojska radzieckie zmieniły kierunek natarcia. W czasie tej krótkiej ewakuacji zginęło dużo więźniów. W pierwszych dniach maja 1945 ponownie Niemcy rozpoczęli ewakuację obozu. W pierwszej grupie poszli wszyscy funkcjonariusze. W drugiej grupie poszli więźniowie wyznaczeni przez Niemców. Reszty obozu już nie zdołali wyprowadzić. 9 maja 1945 roku nad ranem wkroczył na teren obozu pierwszy żołnierz radziecki. Bramy obozu otworzyły się przed resztą nie ludzi a nędzarzy. Nieopisany krzyk radości rozległ się nad obozem. Łzy szczęścia płynęły z wszystkich oczu. Nie wszyscy cieszyli się. Byli i tacy, którzy zamknęli oczy na zawsze w pierwszej chwili wolności. Rewir był zapełniony chorymi. Ale umierali już jako wolni ludzie. Szybko minął szal radości. Ktoś krzyknął, by uciekać, bo mogą Niemcy wrócić się i nas wybijać. To dodało nam sił. Kto mógł, skierował swe kroki na wschód, do swoich, do rodziny. Ja z grupą więźniów udałem się w kierunku Wrocławia. 18 maja 1945 roku wszedłem na progi swego mieszkania i rzuciłem się w objęcia mojej matki. Wraz ze mną z obozu koncentracyjnego wrócił mój brat.

(Po powrocie z obozu dowiedziałem się, że jeden z gestapowców z Alei Schucha został przekupiony przez moją organizację i zamienił moje dokumenty.)

Nie długo odpoczywałem po obozie. Już 12 lipca 1945 zostałem powołany do Oficerskiej Szkoły Artylerii w Toruniu. Ze względu na zły stan zdrowia zostałem 30 września 1946 roku zdemobilizowany. Dłuższy czas leczyłem się. Później rozpocząłem pracę na PKP. Po pół roku przeniosłem się do pracy w oświacie jako nauczyciel. Ukończyłem wyższe studia zawodowe – kierunek fizyka. Uczyłem w LO w Lubaniu i Zgorzelcu. Przez 12 lat byłem prezesem Oddziału Powiatowego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Lubaniu. Od 1969 roku by-

łem dyrektorem Technikum i Zasadniczej Szkoły Zawodowej w Lubaniu i ostatnio dyrektorem Zespołu Szkół Medycznych w Zgorzelcu. Od 1 września 1982 roku przechodzę na emeryturę. Jestem radnym w Węglińcu, gdzie mieszkam. Jestem kombatantem i inwalidą wojennym I grupy.

Za walkę z okupantem, za pracę społeczną i zawodową otrzymałem następujące odznaczenia: Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Krzyż Zasługi, Krzyż Partyzancki, Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, Medal Zwycięstwa i Wolności, Medal Edukacji Narodowej, Złotą Odznakę ZNP, Odznakę 15-lecia Dolnego Śląska, Złotą i Srebrną Odznakę LOK, Odznakę Za Zasługi dla Województwa Jeleniogórskiego, Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania I-go stopnia i inne oraz wiele dyplomów i wyróżnień. /cdn./

**Źródło: Notatka biograficzna więźnia obozu koncentracyjnego Gross-Rosen – Janusza Karpińskiego. Kserokopia maszynopisu z 1982 roku przekazana Redakcji przez Ryszarda Kotowicza.**

## Wspomnienia kierownika szkoły Stefana Wichrowskiego /2/

W pierwszych powojennych latach szczególnie na Ziemiach Zachodnich odczuwało się brak rąk do pracy. Faszystowska polityka okupanta przerzuciła szeregi inteligencji polskiej. Na grupie nauczycieli, która objęła posady na terenie miasta i wsi spoczywał nie tylko obowiązek organizowania życia szkolnego, ale i konieczność włączenia się do różnych form działalności społecznej, politycznej czy kulturalnej. Szczególnie członkowie partii PPR i PPS zdawali sobie sprawę z istniejącej sytuacji i chyba nie było nauczyciela, który odmówiłby współdziałania w różnych organizacjach.

Mnie, jako kierownikowi pierwszej szkoły podstawowej w powiatowym mieście przypadła niejako z urzędu rola pełnienia wielu funkcji społecznych. Nie będzie to więc przechwałką, ale stwierdzeniem konieczności podejmowania różnych dodatkowych obowiązków. Jako członek ZNP od 1928 roku, tj. od chwili wstąpienia do zawodu nauczycielskiego włączyłem się natychmiast do współpracy w Zarządzie Powiatowym Oddziału ZNP. Zostałem skarbnikiem. Powierzono mi również funkcję przewodniczącego konferencji rejonowych Ogniska. Kiedy zwiększyła się liczba nauczycieli w powiecie, jako członek zarządu obsługiwałem zebrania ognisk, co było dość uciążliwe przy słabo rozwiniętej komunikacji. Środkiem lokomocji często był rower, a zdarzały się i piesze wędrówki.

**„Czerwona szkoła” – jak nazywano pierwszą szkołę – stała się punktem zbiorczym dla nauczycieli z terenu. Tu odbywały się zebrania, narady, spotkania.** Celem ułatwienia kolegom otrzymywania poborów wybrano mnie powiatowym płatnikiem. Pobierałem pieniądze z tzw. Urzędu Skarbowego i zgodnie z przekazanymi mi listami płacy wypłacałem pensje.

Na terenie miasta powstała Księgarnia Nauczyciela oparta na zasadach spółdzielczości. Uczestnikami byli wszyscy nauczyciele. Należałem do zarządu księgarni. Sklep znajdował się na ulicy Żeromskiego, obok cukierni „Polonia”. Kierownikiem był kol. **Urbański**. Ta jedyna księgarnia w mieście zaopatrywała w materiały piśmienne oraz prowadziła skup i sprzedaż podręczników.

Dużo osobistej satysfakcji znalazłem w pracy Towarzystwa Burs i Stypendiów, którego prezesem był sędzia **Jaruga**. Jako sekretarz organizacji organizowałem zbiórki uliczne oraz z zarządem rozdzielałem stypendia niezamożnej młodzieży. Sekretarzystałem również w Oddziale Komitetu Pomocy Społecznej. W okresie wielkich trudności aprowizacyjnych w mieście Komitet zorganizował stołówkę przy Alei Wojska Polskiego. Korzystać z niej mogli renciści, ludzie niezdolni do pracy, rodziny wielodzietne.

Prócz pracy w organizacjach, pośrednio związanych ze szkolnictwem, pełniłem jeszcze inne funkcje. Należałem do Powiatowej Rady Związków zawodowych. Z ramienia tej Rady zostałem wybrany i wydelegowany na członka Powiatowej Rady Narodowej. W tym czasie członkowie Rady nie byli wybierani drogą głosowania, ale delegowani byli przez różne instytucje i organizacje.

Mimo wielu zajęć społecznych nauczyciele rzadko odrywani byli od pracy w szkole. Wszelkie konferencje, zebrania odbywały się w godzinach popołudniowych lub w niedzielę. Jako członek partii PPR wyjeżdżałem często w teren z odczytami.

Zebrałem tu tylko garść informacji dotyczących swojej pracy jako kierownika szkoły w pierwszych powojennych latach. Celowo podkreślam tylko te fakty, które dotyczą organizacji szkolnictwa w Kamiennej Górze, zdając sobie sprawę, że należą już do nielicznej grupy pionierów, która te czasy pamięta. /koniec/

**Źródło: Wspomnienia kierownika pierwszej szkoły podstawowej w Kamiennej Górze – Stefana Wichrowskiego. Kopia maszynopisu przekazana Redakcji przez Zofię Wichrowską.**

## Losy kamiennogórskich Żydów /2/

W tym odcinku przedstawione zostaną wybrane, jednostkowe losy kamiennogórskich – niemieckich Żydów w okresie III Rzeszy (1933 - 1945).

Rodzina **Bender (Ignatz, Edith, Else i Hans)** mieszkała przy ul. Księcia Bolka I (Oberstrasse 1). Na parterze budynku mieszkalnego znajdował się sklep kolonialny. Według jednego przekazu Ignatz Bender zmarł, jego żona i córka miały być deportowane przez Wrocław, a syn miał udać się do Szwecji. Inny przekaz (list) po latach informował, że po pożarze kamiennogórskiej synagogi w 1938 roku rodzina Bender wyemigrowała do Ameryki.

Kupiec **Georg Liebrecht z Hansem i Hilde** mieszkał przy ul. Słowiańskiej (Wilhelmstrasse 4) i prowadził wytwórnę likieru. Według źródła listowego miał być deportowany, a pozostali członkowie jego rodziny wraz ze spokrewnioną **Selmą Rosenstein** podobno zakończyli życie w obozie koncentracyjnym.

**S. Salisch i B. Aronsohn** przy ul. Słowiańskiej (Wilhelmstrasse 15) prowadzili działalność destylacyjną i sklep. Autorka listu wspominała, że jeździła tam z ojcem na motorze po wino i wyroby spirytusowe. Według niej pan Aronsohn był zawsze miłym i sympatycznym człowiekiem. W 1939 roku Aronsohnowie wyjechali do USA. W świetle innej relacji jeden z mieszkańców Kamiennej Góry celowo wykupił od Aronsohna wiele przedmiotów, aby ten mógł sfinansować swój wyjazd za ocean. W mniemaniu tego „kupca” pomógł on tej rodzinie uniknąć najgorszego.

W rynku (Markt 33) znajdował się sklep tekstylny „Sittenfeld - Seiler”, znany z wysokiej marki towarów. Właścicielem domu ze sklepem była **Klara Sittenfeld**, teściowa **Karla Seilera**, który tu też mieszkał z **Ilse i Margot**. Założycielem tego rodzinnego biznesu – sklepu był „starszy pan Sittenfeld”. W liście pani Sittenfeld wymieniona jest jako zmarła, a Seilerowie wyemigrowali do Australii. W korespondencji z 1958 roku wspomniano, że mieszkają w Melbourne, a swoje nazwisko zapisują w formie „Siler”. Początki na przymusowej emigracji mieli bardzo ciężkie, ale po pewnym czasie dorobili się, nabyli dom i uruchomili w nim sklep, kupili samochód i stać ich było dwa razy w roku wyjechać na urlop. Do Europy nie zawitali, bo kojarzyła im się z czymś złym.

Rodziny **Dobschuetzer (Alfred z żoną) i Rothmann (Max, Kate, Doris)** mieszkały w rynku pod jednym dachem (Markt 3) i trudniły się wyrobem spirytualiów (Spirituosenfabrik). Wiadomo, że Dobschuetzerowie zmarli (w obozie?), a Rothmannowie wyjechali do Szanghaju. W trakcie „Kryształowej nocy” zakład destylacji ze sklepem został splądrowany i w dużym stopniu zdewastowany. Mieszkanie Dobschuetzerów na I piętrze burmistrz miasta przekazał pewnej matce z trojgiem dzieci.

Agent tekstylny **Harry Wolfsohn** był w spółce ze sklepem „Sittenfeld – Seiler” (Markt 33). Z listu wynika, że kuzyn pani Wolfsohn jako profesor medycyny wykładał na jednym z uniwersytetów w Izraelu, a jej starsza córka, **Ruth**, wyszła za mąż za akademika i mieszkała w Berlinie. Młodsza córka, **Gerda**, studiowała medycynę i także wyjechała do Izraela. Została asystentką profesora **Zondka**, a później jego żoną.

Szewc **Erich Jakob** z żoną o imieniu **Meta** i córką **Dorothea** (zdrobniale nazywaną Dorit) mieszkał najpierw przy ul. K. Miarki (Langhansstrasse), a później przy ul. Spacerowej (Wasserpromenade 2). Po 1934 roku rodzina Jakobów wyjechała do San Francisco w USA.

W budynku na rogu rynku i ul. Słowiańskiej (Friedrichstrasse 14) kupiec **Leonhard Peritz** prowadził sklep („Kaufhaus Peritz”), w którym można było nabywać towary codziennego użytku, w tym tkaniny odzieżowe i kapelusze. Klientów obsługiwała cała rodzina, kłaniając się i odprowadzając ich do drzwi. Z czasem sklep przejęło rodzeństwo – brat z siostrą. Los rodziny nie jest jasny: Leonhard podobno zmarł, a jego żona **Martha** i córka **Erna** miały być deportowane, natomiast syn **Erich** wyjechał do Australii i tam zakończył życie.

Przy ul. K. Miarki (Langhansstrasse 10) mieszkała trzypokoleniowa rodzina **Licht**. Dochodu dostarczał im mały sklep tekstylny z bielizną i rajstopami. Rodzinę tworzyli: kupiec **Aron** z żoną **Julchen** oraz kupiec **Erich** z żoną **Else** i dziećmi – **Hansem** i **Susi**. Pani Else Licht była ładną kobietą o blond włosach i z zawsze uśmiechniętą twarzą. Pod koniec lat 30. XX wieku Lichtowie mieli osiąść w Palestynie, a następnie przenieść się do Melbourne w Australii.

Spokrewnione rodziny **Gruenpeter** i **Schueftan** pracowały w sklepie „Mosler” przy ul. W. Broniewskiego (Schmiedeberger Strasse 17) – właściciel **Albert Mosler**. Można tu było nabyć wszystko – od napastrka aż po eleganckie kapelusze z filcu, materiału czy też słomkowe. **Moritz** Schueftan był zięciem **Samuela** Gruenpetera, seniora – szefa, spokrewnionego z rodziną Mosler. Najczęściej w sklepie przebywali panowie Moritz i Samuel. Za poczynione zakupy pięknie dziękowali i z ukłonami odprowadzali klientów do drzwi. Według jednego autora wspomnień naprzeciwko sklepu „Mosler” z wieloma wystawami ulokowało się po roku 1933 biuro gazety jawnie zwalczającej Żydów. Wśród mieszkańców miasta krążyła pogłoska, że klienci tego sklepu są fotografowani i muszą liczyć się z szykanami. Efektem tej udanej prowokacji był drastyczny spadek obrotów i w konsekwencji popadnięcie współwłaścicieli w biedę. Mówiono też, że za udzielanie im pomocy można było wylądować w obozie koncentracyjnym. Pewnej nocy rodziny Gruenpeter i Schueftan (bezdzienna) opuściły miasto

i wyjechały do Tel Avivu w Palestynie (Izraelu). Wcześniej musieli przymusowo sprzedać dom przy ul. W. Broniewskiego (Schmiedeberger Strasse 3).

Przy ul. H. Sienkiewicza (Bismarckstrasse 11) mieszkał lekarz **Martin Zellner** z żoną i synem **Stephanem**. Zellnerowie wyjechali do Chin, a następnie osiedli w USA. Autorzy listów w ciepłych słowach wyrażali się o tym lekarzu. W jednym z nich napisano: „*Stephan Zellner do 1939 roku był moim sąsiadem z ławki w katolickiej szkole [Volksschule – obecnie siedziba ZSO] w Kamiennej Górze. Jego ojciec od tego roku nie mógł prowadzić praktyki lekarskiej. Czerwony Krzyż wysłał go z rodziną do Chin. W Sanatorium Przeciwgruźliczym w Kamiennej Górze pracowali wtedy dwaj chińscy lekarze jako praktykanci, co się bardzo nie podobało szefowi NSDAP, Seewaldowi.*” Piszący ten list wspominał, że udało mu się po II wojnie nawiązać kontakty ze Stephanem Zellnerem i wspólnie w 1989 roku odwiedzić Kamienną Górę.

Rzeźbiarka **Gertrud**, z domu **Hahlo**, żona kamiennogórskiego burmistrza **Guentera Riesa** (1931 – 1943), miała „żydowskiego” ojca, który wyemigrował do Anglii i tam zmarł w 1954 roku. Ich syn, **Peter Ries**, odziedziczył po rodzicach artystyczny talent i zasłynął jako niemiecki reżyser teatralny, autor sztuk i kierownik festiwalu.

Lekarz **Herbert Rother** mieszkał w willi przy ul. Papieża Jana Pawła II (Bahnhofstrasse 10). Jego ojciec, **Felix**, też był medykiem. We wspomnieniach utrwalił się jako bardzo dobry lekarz, o którym mówiono „*wujek Rother*”. Wyemigrował do Argentyny.

**Siegfried Barasch** prowadził przy ul. Parkowej (Kirchstrasse 2) sklep tekstylny. W czasie I wojny walczył na froncie jako niemiecki żołnierz i odznaczony został Żelaznym Krzyżem. W trakcie „Kryształowej nocy” w listopadzie 1938 roku „nieznani” sprawcy wybili szyby w jego sklepie i napisali farbą na murze „*Bar*”. Złożył skargę na policji, ale ją zignorowano, co nim bardzo wstrząsnęło, jako wzorowego obywatela Niemiec. Na skutek przymusowej sprzedaży jego sklep przejął elektryk **Wende** i powiększył swój zakład. Żona Barascha, **Margot**, została deportowana „*nach Obernik*”.

**Philipp Falkenstein**, ostatni rabin Żydowskiej Gminy Synagogałnej w Kamiennej Górze, też miał być deportowany.

Adwokat **Julius Bab** mieszkał przy ul. A. Mickiewicza (Friedrichstrasse). Przed II wojną wyjechał z rodziną z Kamiennej Góry.

Rodzina **Rector** mieszkała przy ul. Papieża Jana Pawła II (Bahnhofstrasse 4). **Simon** Rector przybył do Kamiennej Góry około 1900 roku i podjął pracę w małym sklepie tekstylnym. Po kilku latach przeszedł do fabryki lniarskiej **Rinkla**, gdzie osiągnął funkcję dyrektora handlowego. Po chorobie zmarł w 1935 roku. W jego pogrzebie uczestniczyły tłumy pracowników zakładu i mieszkańców miasta. Żona Simona Rectora też pochodziła z Górnego Śląska i zmarła w 1937 roku. Ich starszy syn, **Franz** (ur. 1904), wyjechał do Wrocławia i ożenił się. Nie udało mu się wyemigrować do Ameryki Południowej. Wraz z żoną zostali deportowani do obozu koncentracyjnego w Teresinie (Czechy) i tam zakończyli życie. Młodszy syn Rectorów, **Helmut**, po maturze studiował prawo i w 1933 roku zdał stosowny egzamin prawniczy. Najpierw pracował we Wrocławiu, następnie w znanej firmie w Berlinie. W 1938 roku ożenił się i wkrótce (1939) wyjechał do Boliwii lub Peru, zakładając tam własny interes. W 1980 roku sprzedał firmę, by w 1986 roku wrócić już na stałe do Niemiec. Przed II wojną był osadzony na około dwa tygodnie w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. /cdn./

**Jan Lubieniecki**

**Źródło:** Referat wygłoszony 22 lipca 2015 roku w Centrum Kultury w Kamiennej Górze w ramach projektu „Muzeum na kółkach”, realizowanego przez Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie.

**Redakcja:** Jan Lubieniecki – opiekun i redaktor naczelny, Dominik Mitro (kl. II E LO), Kamil Schabiński (kl. II E LO) – redakcja techniczna. Pismo ukazuje się 5 razy w roku szkolnym (X, XII, II, IV, VI).

**Wszelkie prawa zastrzeżone**